

Byłem, jestem i będę pacyfistą

ROZMOWA Z DR. WŁODZIMIERZEM KWAŚNIEWICZEM EKSPERTEM ORAZ KOLEKCJONEREM DAWNEJ BRONI I UZBROJENIA OCHRONNEGO

– Kiedy się wchodzi do Pana pokoju z każdego miejsca przemawiają do nas obiekty świadczące o zainteresowaniu dawną bronią. Jak się dochodzi do takiej kolekcji?

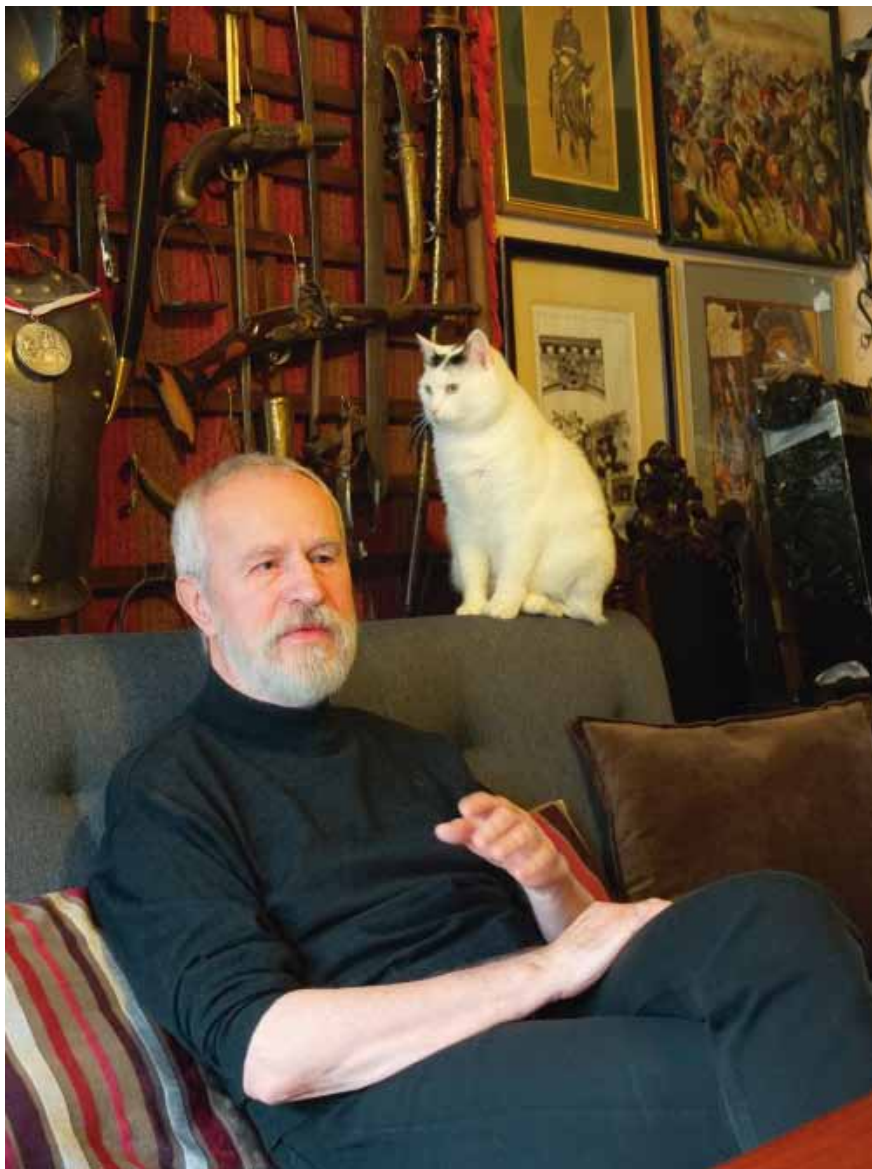
– Zainteresowania kolekcjonerskie to duża część mojego życia, związana przede wszystkim z pracą w Lubuskim Muzeum Wojskowym w Drzonowie – najpierw jego tworzeniu i później już zarządzaniu. To, co mam w domu, to wycinek pasji, którą udawało mi się przez lata tam realizować. Dlatego powiedziałbym, że bardziej jestem kolekcjonerem instytucjonalnym, niż takim na własny użytek.

– Czy to oznacza, że zainteresowanie bronią pojawiło się dopiero w pracy zawodowej?

– Nie. Praca to efekt pogłębiania się i poszerzania pasji do dawnej broni. A smykałka kolekcjonerska kształtowała się u mnie podobnie jak u rówieśników. Najpierw pojawiła się fascynacja wszystkim, co jest związane z Indianami. Zamiatanie to było znane w przestrzeni szerszej niż zielonogórska, aż przyjechała telewizja z Warszawy. Potem pojawił się dziennikarz z „Świata Młodych” i zrobił ze mną wywiad. Jak się ukazał, byłem dumny i błady (śmiech). To było oczywiście w mojej wczesnej młodości. Po czasie zainteresowania zaczęły ewoluować w kierunku broni. Moje dzieciństwo i młodość przypadły na okres tużpowojenny, wokół wałało się dużo – jak to się mówi w slangu muzealników – artefaktów. Rzeczy po Niemcach, którzy w 1945 roku musieli opuścić te ziemie: meble, wyposażenie kuchni, obrazy, książki, a wśród nich to, co chłopców urzeka szczególnie – fragmenty broni i wyposażenia wojskowego. Zacząłem je powoli gromadzić. Nabierało się kilkadziesiąt okazów.

– To niebezpieczne zabawki dla dzieci.

– Pamiętam, jak z kuzynem uprawialiśmy szermierkę. Tyle że ja miałem miecz Göringa (wyposażenie Luftwaffe) w ręku, a on zaledwie miecz drewniany.



Mimo że jestem emerytem, nadal oddaję się swojej pasji – mówi Włodzimierz Kwaśniewicz

fol. Alicja Błażyńska

Gdy zaczął mnie tym drewnianym okładać po rękach, walnąłem go swoim mieczykiem w głowę. Połała się krew. Awantura była strasna i mama powiedziała, że wszystko muszą wyrzucić. Na szczęście ujęła się za mną ciocia Róża i udało jej się wybłagać u rodzicielki zgodę na tymczasowe schowanie kolekcji w komórce pod schodami. Takie były początki mojego gromadzenia militariów. I takie quasi-muzeum sobie utworzyłem.

– Krąży legenda, że Włodek Kwaśniewicz miał w życiu dwa muzea. Jedno w domu, drugie w Drzonowie.

– W drzonowskim spełniałem marzenia i mogłem do niego pozyskiwać obiekty, które w domowych pieleszach nie miałyby racji bytu. Lubuskie Muzeum Wojskowe, oprócz broni dawnej i uzbrojenia ochronnego, posiada ogromną ilość sprzętu wojskowego i lotniczego. Swego czasu, mimo wielu oponentów, poszedłem w sprzęt

ciężki: w armaty, czołgi, wyrzutnie raketowe, sprzęt saperki, samoloty, śmigłowce. Udało mi się je pozyskać w ogromnej mierze dzięki wsparciu wojska. Tę pomoc otrzymałem zarówno w gromadzeniu, jak i przebazowywaniu. Transport czołgu z jednego miejsca na drugie, to przecież nie to samo, co przewiezenie dziesięciu szabel.

– *Jakiś spektakularny przykład?*

– Zamarzyło mi się sprowadzenie do Drzonowa dwóch dział samobieżnych SU 152, które znajdowały się na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Cybince. To było w latach 90., gdy urząd wojewody sprawował Marian Eckert. Poprosiłem go o pomoc, gdyż cmentarze rosyjskie na terenie Polski podlegały ministerstwu obrony w Moskwie i aby przewieźć działa w inne miejsce, należało mieć jego zgodę. Procedury trwały około roku, jednak dzięki osobistemu zaangażowaniu wojewody Eckerta udało się. To nie był koniec problemów. Działa stały na pięciometrowych cokołach. Aby je zdjąć, potrzebne były dwa sześćdziesięciotonowe dźwigi. Jeden załatwiłem w Zielonej Górze, drugi ściągnęliśmy z Gorzowa. Obiekty zostały zdjęte i dopiero wówczas, oczywiście znowu dzięki pomocy wojska, przewieziono je do Drzonowa.

– *Czym te działa różniły się od innych?*

– W 1943 roku w fabryce traktorów w Czelabińsku Rosjanie wyprodukowali 700 sztuk takich dział. Na świecie do dziś zachowały się trzy. Jedno znajduje się w Muzeum Broni Pancernych w Kubince pod Moskwą, a dwa w Drzonowie. Wielu historyków, kolekcjonerów, pasjonatów przeszłości przyjeżdża do podzielonogórskiego muzeum tylko po to, by je zobaczyć.

– *Co jest w tych przedmiotach służących przecież zabijaniu innych ludzi, że tworzy się dla nich muzea, pisze książki, organizuje konferencje?*

– W moich poczynaniach tkwi pewien paradoks, bo byłem, jestem i umrę, będąc pacyfistą. Mimo to zająłem się przyrządami do zabijania, traktując je jako wytwory ludzkiej cywilizacji, w jej bardzo szerokim spektrum, w których zawarte bywają pewne treści i symbole pozamilitarne.

– *Przykład?*

– Oto dwie szable. Jedna na pierwszy rzut oka budzi zainteresowanie. To broń angielska w typie tzw. mameluka. Jednak nie wzbudza we mnie emocji, bo gdy biorę ją do ręki, wiem, że nie jest oryginalna. Natomiast druga – w dość marnym stanie – to szabla francuska lekkiej kawalerii, model 1822. Tego typu broń znajdowała się w uzbrojeniu powstańców styczniowych 1863 roku, ale też walczyli nią żołnierze Armii Błękitnej generała Hallera w 1919, a potem ułani we wrześniu 1939. Egzemplarz, który trzymam, jest na pewno polski, a nie francuski. Wyróżnia go pewna pozorną niedoskonałość. Otóż nie ma on kabłąków bocznych (zabezpieczały dłoń trzymającą uchwyt rękojeści), gdyż obcinano je w naszych rusznikarniach w latach 30. XX wieku z powodu polskiej tradycji troczenia szabel pod tylną tybinką siodła. Kabłąki boczne po prostu przeszkadzały kawalerzystom. I drugi aspekt. Szable z bocznymi kabłąkami żołnierze nazywali wyrwirączkami, bo były zbyt ciężkie. Aby dostosować je do naszej praktyki, obcinano im boczne kabłąki. I dlatego do tej szabli mam szczególnie sentyment, gdyż właśnie przez ten mankament wiem, że była używana przez polskie wojsko.

– *Pana ogromna wiedza i doświadczenie służą osobom prywatnym i instytucjom.*

– Mimo że już jestem emerytem, nadal oddaję się swojej pasji. Jestem ekspertem i biegłym sądowym w dziedzinie historii sztuki i broniostwa. Po tych dziesiątkach lat, kiedy to przez moje ręce przeszło kilkaset tysięcy sztuk broni, mam szczególnie wyczulony wzrok na kopie i oryginały. Jak mechanik samochodowy na dźwięk silnika w samochodzie. Nieustannie zgłaszają się do mnie kolekcjonerzy i instytucje z prośbą o wykonanie ekspertyzy zakupionej lub planowanej do zakupu broni białej. Poza tym piszę, wygłaszam prelekcje, tylko już nie lubię podróżować. Dlatego ci, którzy chcą mojej rady, muszą przysłać broń albo ją przywieźć. Na podstawie zdjęcia mogę jedynie wyrazić opinię, nigdy nie dam ostatecznej, autorytatywnej oceny.

– *W naszej rozmowie często podkreśla Pan rolę innych osób w tworzeniu kolekcji instytucjonalnej, ale i innych działaniach, które Pan podejmuje.*

– To prawda. Udało się wokół mojego muzeum (tak już zawsze będę mówił) zgromadzić sporą ilość instytucji i ludzi, którzy widzieli sens i chcieli mi pomagać w tym, co robiłem ze swoim zespołem. Dzięki temu udało się stworzyć znakomite zbiory militariów o znaczeniu ogólnopolskim, wśród których jest wiele obiektów unikatowych lub rzadkich. I to uważam za moje najcenniejsze trofea. Zbiory znajdujące się w mieszkaniu, to tylko egzemplifikacja mojej pasji, moich zainteresowań, potwierdzenie tego, czym się zajmuję jako historyk broniostwa i emerytowany muzealniki.

– *Wspaniała pasja i kolekcja.*

– We wszystkim, co robię w sensie me rytoryki, funkcjonuje moja żona Ewa. Wczoraj i dziś robiliśmy ekspertyzę kolejnej szabli. Ewa oczywiście przepisała to na komputerze i na dodatek zrobiła jeszcze zdjęcia szabli. Tak było zawsze. Pracując w bibliotece, ściągała mi niezbędną literaturę do pracy nad książkami i artykułami. Mówię o tym dlatego, że niekiedy, gdy słucham ludzi, którzy coś osiągnęli, to pojawia się tylko „ja”. Ale przecież gdyby nie osoby wokół mnie, a szczególnie Ewa, wielu rzeczy nie osiągnąłbym. Dlatego też zawsze będę przypominał ważne postaci, które pojawiły się na mojej drodze życia: Zbyszka Czarnucha, Janka Muszyńskiego, prof. Karola Olejnika, prof. Zdzisława Żygulskiego jun. I prof. Konstantego Kalinowskiego.

– *Nie mogę się oderwać od myśli, że pasja kolekcjonerska ukształtowana w młodości, ułożyła całą Pańską drogę życiową. Miał Pan szczęście realizować te zainteresowania w pracy i umiał je szerzyć, pisząc książki o przedmiotach, które Pan ukochał. Szczęściarzem Pana.*

– Są dwa dzieła mojego życia: Lubuskie Muzeum Wojskowe w Drzonowie, które nadal śni mi się po nocach. Drugim dziełem – wśród wielu książek, katalogów wydanych w Polsce i zagranicą – jest „Encyklopedia dawnej broni i uzbrojenia ochronnego”. Jest to pierwsza tego typu książka w literaturze polskiej i bardzo ją sobie cenię. A przede mną kolejne wyzwania.

– *Dziękuję za rozmowę.*

Alicja Błażyńska